



Tadeusz Chabrowski (ur. w 1934 r.) – poeta, były duchowny katolicki. Debiutował w 1960 r. wierszami na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Publikował m.in. w: „Nowym Wyrazie”, „Więzi”, paryskiej „Kulturze”, londyńskich „Wiadomościach”, „Kontynentach-Nowym Merkuryszu”, „Oficynie Poetów”, „Akcentcie”, „Przeglądzie Katolickim”. Jego wiersze w tłumaczeniu na język niemiecki ukazały się w antologii Karla Dedeciusa „Lyrisches Quintett” (1992). Autor zbiorów wierszy (wybór): „Madonny” (1964), „Lato w Pensylwanii” (1965), „Drzewo mnie obeszło” (1973), „Wiersze” (1975), „Panny z wosku” (1992), „Miasto nieba i ziemi” (1994), „Gałąź czasu / Branch of time” (1996), „Zakwitną wieczorem” (1996), „Kościół pod słońcem” (1998), „Muzy z mojej ulicy” (2006), „Dusza w klatce” (2006), „Mnisi, czyli nierymowane strofy o enotach” (2008), „Poezje wybrane” (2009) oraz powieści „Skrawki białego habitu” (2010). Stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej (1972). Laureat szeregu nagród, m.in.: Nagrody im. Z. Polkowskiej-Szkaradzińskiej (1964) w konkursie emigracyjnego pisma „Kontynenty”, Nagrody Fundacji Kościelskich (1965), amerykańskiej nagrody World of Poetry Press (1990) oraz Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy (1993). Mieszka w Nowym Jorku.

Tadeusz Chabrowski Zielnik Sokratesa



Wilcze lyko

Będę cię nawoził, badyłu,
podartymi kartkami z podręcznika biologii,
torfem z bągien o herbacianym smaku,
ciepłym deszczem i otrębami.

Wyrośniesz wysoko jak krzak janowca,
cierpiący na zawroty głowy,
z pióropuszem dymu zamiast aureoli.
By w czystym lasu deptać
po trzeszczących szyszkach i żółdziach.

Chwila poprzedzająca następną chwilę
będzie spływała po twoich liściach
razem z żywicą
i glikozydem kumarynowym.

Porzeczka czarna

Cubię się, wędnę z przynębnienia.
Heraklit miał rację, że nie można
zakwitnąć dwa razy tym samym kwiatem.

Z nietrwałych widm lepiej świat,
w głębi wnętrza krzeszę iskrę chwili,
która przemienie.
Różdżką czarodziejską łapię w sidła
fioletowe oczy gwiazd
i delikatnie namaszczone skrzydłem słońce.

Niepokalanek pieprzowy

Mam liście dloniasto złożone,
jestem jednakowo uprzejmy dla każdego,
kłamstwa zrodzone z instynktów,
metafizyczny grymas wyczuwam na milę.

Prawa fizyczne obowiązują mnie
tylko wtedy, gdy porowatą wargą
wsysam powietrze,
gdy dylematy moralne utkane z sieci
jednostkowych decyzji
spijam razem z deszczówką.

Melisa

Różowa pigwo, przesunij się trochę w lewo
i nie zaslaniaj mi słońca,
wiem, że nudzisz się w dzierzawionym
kąciku, czułość dla istnienia
już dawno wygasła pod twoim naskórkiem,
powoli pożera cię melancholia.

Dla mnie to dopiero początek lata,
pierwsze ciepłe deszcze,
w przejrzystości powietrza szum symfonii
z odległych galaktyk,
ekscytacje erotyczne komarów
i kąpiące purpurą z zenitu słońce.

Dla samego podniecenia,
oglądania przyległych do powiatu peryferii,
chciałabym z jaskółkami przez całą dobę
szybować na wysokościach,
śmiać się z mistycznych igraszek zasianych
w powietrzu.

Śpiewająca lebioda

Wiatr uniósł wysoko brwi,
gdy zanuciłam przedraną piosenkę,
w pustej przestrzeni brzmiała
jak hymn radości,
jak pierwsze dziewczęce pożądanie.

Słońce z rozcochrany
po nocy promieniami
(każdy żarem własnego blasku przypalony)
do krańców wytrzymałości rozpychało
przestrzeń.

Każdym krótkopędem na gałązce
czułam dotyk jego ciepła,
wonne igły sosny z kropelkami rosy sprawiły,
że wokół zaczęły tańczyć pola,
szarość traw do zenitu zzieleniała,
owady i ptaki pod jedną kopułą nieba
cieszyły się drobiazgami życia.

Dynia

Mój Boże! Mówią, że mam kształt kopolastej
pomarańczowej bazyliki
i mogę się stać ostoją duchowego ładu.

Leibnitz powiedział, że wszystkie byty
sklejone z materii posiadają wewnętrzną moc
– pewnie ja też jestem uczulona na energię romienistą.

Za pomocą rozgałęzionych, czepnych wąsów
mogę dotrzeć do krańców ziemi;
kanciastymi szypułkami złotego kwiatu
wsluchiwać się w metaliczną muzykę
spływającą z przestworzy;
ale badyle pod płotem śmieją się
z mojej archaicznej metafizyki,
z rozpuszczonego warkocza liturgii, nasyconego
arabskimi kadzidłami;
– bardziej nieśmiertelne od krecich
lub ludzkich dusz są kamienie przy drodze.

Oset

Zyję jak asceta, moja skóra powleczone
drobnymi kolcami, pierzasty papus
jak w wielkim poście fioletowy;
żadnego niepotrzebnego oddechu marzeń,
równowagę między badylem i aniołem
utrzymuję w sobie, stojąc
całymi godzinami na jednej nodze.

W surowości i karności ducha
utrzymuję też moje myśli: nic z gniewu,
nic do śmiechu, nic z Hegla, Spinozy
lub Schopenhauera, nic z utrapień
otyłego Buddy. Do zbawienia potrzebuję
tylko skrzydeł
i czulej jak westchnienie
jesieni.

Ciemniżyk biało-kwiatowy

Przyczajony w zaroślach, listkami z nerwem
miętko owłosionym śledzę, co dzieje się
pod zagraconym helikopterami niebem.

Sierpniowa szarańcza spłoszona z wrzosowisk
rozplenia się w chmurach,
plonie w słońcu, rozwiewa się na powrót w nicość;
suche powietrze rażone nagle błyskawicą
goi wyrwę mokrym plastrzem chmury,
lekkomyślne wróble wlatują i wylatują
przez niezagojoną jeszcze szczelinę.

Niecodzienny widok oszalała oczy,
chyba skłóciłem się z własnym czasem
albo śnię, że to, co było kiedyś piękne,
jest ciągle dobre,
a to, co było złe, do dzisiaj szpeci planetę.

Kosanice polski

Świat wiruje w przeciwnym niż moje sny
kierunku;
ławendowe motyle tańczą w powietrzu,
a ja wywalam język, błądzę,
węszę za tropem, gryzę po piętach
i chwytam za ogon.

Za wszystko trzeba winić historię,
pierwsze, drugie i trzecie rozbiory,
komunę, Matkę Boską Częstochowską
i polskie piekło.

Nie potrzebujemy żadnego króla,
jeden Polak w zbroi pokona dziewięciu ludzi
w koszulach, dzikie gęsi uwijają sobie
gniazda na naszych hełmach,
będziemy zieloną płachtą na byka
w zjednoczonej Europie.

Lnicia strapiona

Dzieci z siatką na motyle już nie przychodzą
do mnie, wczoraj w nocej bieliznie
umarła tu wdowa po profesorze ornitologii,
szumu wiatru nad drzewami nie dosłyszała,
myśli i słowa zaschły w jej przelyku.

Drugi raz ani ona, ani ja już nie zakwitniemy,
co miało być, już było,
wszystkie aromaty wywietrzały
z naszych zziębniętych porów;
nic, co pod słońcem, nie ocali się w gnuśnej,
wietrzejącej materii.

Przez wieczność będziemy się trzymały
za nasze nietrwale mgłą sklejone ręce.